MILIONOWY.

Powieść wyjęta z dzieł Pana Zschokke.

CZĘŚĆ DRUGA.

(*Dokończenie*).

Dalszy ciąg reformy.

Będąc już pewnym mojego mieysca, dla ulżenia sobie ciężaru, podzieliłem uczniów na klassy w ten sposób, żeby starsi młodszych uczyli. To urządzenie przyśpieszyło postęp w naukach. Dziewczęta nauczyłem robić pończochy. Dla uboższych sam kupowałem wełnę i prątki, a roboty nie odbierałem od nich. Rodzice możnieysi przez ambicyą starali się sami, żeby ich dzieci i w tém upośledzone nie były. Tak więc, naprzód robienie pończoch, potém szycie upowszechnioném zostało. Za połowę mojey płacy nająłem jedną ubogą kobietę, mieszkającą we wsi, do uczenia dziewcząt tych robot. Po roku nie widać już było w szkole, ani obdartych, ani powalanych sukień. Z tém wszystkiem ta skłonność do niechluystwa, dziedziczna po rodzicach, jak szachraystwo u żydów, nie dawała się wykorzenić zupełnie.

Kiedy się tym sposobem płeć żeńska kształciła, chłopcy tymczasem ciągle postępowali w czytaniu, pisaniu i rachunkach. Wszyscy mieli ochotę do słuchania moich bajek, i często prosili, żebym je mówił. Postanowiłem to za naywiększą nagrodę dla pilnieyszych, i w tym celu każdey niedzieli wyznaczałem mieysce naszego zebrania w polu, w lesie, lub też w moim domu. Do zadziwienia prawie, z jaką ochotą, nawet doroślejsi, którzy już dawno

wyszli ze szkoły, cisnęli się koło mnie. Opowiadałem im cokolwiek z historyi naturalney i powszechney, z jeografii lub nauki moralney, zawsze wystawując rzecz w postaci bayki lub powiastki. Starsi słuchali tylko dla rozrywki, a tymczasem znikały w nich przesądy, rozwijało się uczucie moralności i wyobrażenie o świecie.

Nie mniey doświadczałem rozkoszy, z obowiąsku mego ucząc śpiewania. Wielu z uczniów moich mieli śliczne głosy. Kantor z sąsiedzkiego miasteczka dostarczał mi papierów muzycznych. Młodzież moja zaczęła śpiewać wybornie; ale jednak śpiewanie kościelne zawsze było niesforne: nie mogłem bowiem uprosić starców, żeby cokolwiek mniey rozpuszczali gardła. Udawałem się z tém do Pastora. „Eh, co tobie się plecie?" mówił mi Pastor: tu każdy powinien chwalić Boga ze wszystkich sił swoich!"

Musiał on przed swoją owczarnią powtórzyć naszą rozmowę: bo chłopi, jakby na złość, tak mocno wrzeszczeć zaczęli, że prawie zawsze z ochrzypłą krtanią wychodzili z kościoła.

Nakoniec trzeba mi było ostróżniey postępować z moimi braćmi chłopkami, gdyż, jakem uważał, nie bardzo dobrze mi życzyli. Moje śpiewanie, szycie, robienie pończoch, mycie się i czesanie, poczytywali za zgubne nowości. Pastor, a bardziey jeszcze wóyt, podżegali te niechęci: pierwszy za to, żem się nie uginał przed nim; drugi przez nienawiść ku mnie: bo nietylko sam, ani grosza nie dałem utargować w jego traktyerze, ale nadto co niedzieli swojemi powieściami zabierałem mu wielu gości.

Możeby jeszcze gorzey postępowano ze mną, gdybym nie był kochany od młodzieży. Osobliwie

małe dzieci,lubiły mię z naytkliwszą czułością. One to odwracały wiele złych zamiarów, przeciw mnie napiętych, ostrzegając wcześnie, jeżeli który z wieśniaków cokolwiek knował. Tymczasem jedna wieść zabobonna,przez stare baby rozgłoszona, przyczyniła się do tego, że każdy mię poważał albo lękał się raczey. Zaczęto mię nazywać czarownikiem, guślarzem i tym podobnemi imionami. Moja hoyność przy małym dochodzie nauczyciela wieyskiego, zdawała się potwierdzać to mniemanie. Kiedy zaś nikomu nie udawało się wypłatać mi figla:bo wszystko wiedząc wcześnie, umiałem zapobiedz w porę: powszechnie już nie wątpiono, że byłem czarownikiem. Czy krowa czyja sinie mléko dawała,czy komu co skradziono,albo jeśli kto stracił rzecz jaką;natychmiast udawano się do mnie, żebym ciągnął z kart kabałę,zgadywał i wróżył. Jakkolwiek wymawiałem się od tego, jakkolwiek nie przyymowałem ofiarowanych pieniędzy; zawsze myślano jednak, że wszystko nie swoją mocą czynię: bo i moje sześć morgow ziemi, przedtém naylichsze w całey okolicy, teraz stały się żyżnemi i nie mały zysk przynosiły; a chociaż każdy widział na własne oczy, że młode chłopaki przez przyjaźń pomagali mi w uprawie roli; że mali uczniowie moi koleyno chodzili pleć szkodliwą trawę; chociaż każdemu z wieśniaków objaśniałem nayprostsze sposoby ulepszenia rolnictwa; zawsze jednak trwali w przekonaniu, że u mnie dzieje się wszystko przez złego ducha.

Widziałem, że starych żadną miarą nie podobna było odmienić, i całą nadzieję pokładałem w podrastającem pokoleniu, w uczniach moich. Tymczasem Pastor wyrządził mi okropnego figla,i tylko

co nie zniszczył całego owocu pięcioletnich moich prac i starań. Ale nakoniec sam wpadł w jamę, którą kopał pode mną.

Nie będę opowiadał wszystkich szczegółów tey okoliczności; dosyć, że P. Pastor Pflok został zrzucony, a na jego mieysce przysłano innego, nazwiskiem Bodé. Był to człowiek podżyły, doświadczony, łagodny, i w sposobie myślenia zupełnie różny od swego poprzednika. Gorliwie pomagał mi we wszystkich dobrych przedsięwzięciach; starał się przez prostą, przekonywającą, duchowną wymowę, naprowadzać swoję owczarnią na lepszą drogę. Chodził od chatki do chatki: wspierał, radził, pocieszał i zachęcał wszystkie rodziny. Ale te prace nie bardzo były skuteczne. Mniey chętnie jego kazań słuchano. Chłopi ciągle tylko wspominali i chwalili swojego Pfloka— „Nie" —mówił każdy; „takiego Pastora już nie będzie u nas".

O s a d a.

Niejakiś baron Cebra, dostawszy w puściznie około trzechset morgow lasu, w naszych okolicach położonego, przyjechał do Gardu, żeby zbyć tę własność: bo sam mieszkając daleko, nie mógł czuwać nad nią. Rząd nie chciał jey kupić: ponieważ kray tuteyszy nie cierpi w tém niedostatku, a nie mając rzek spławnych, handlować drzewem nie może. Baron potém umyślił zapytać naszych wieśniaków: czyliby nie kupili tego lasu, tem bardziey, że graniczył z ich ziemią; ale oni i tak już byli odłużeni, lasu zaś z biedy mieli dosyć, a kiedy nie stawało, tedy w dobrach barona mogli kraść dowoli. Tak więc odmówiono mu: chociaż cenę z dziesięciu tysięcy złotych,

spuścił na siedm tysięcy. Baron, nie wiedząc co zrobić ze swojém dziedzictwem, szukał rady u pastora Bodé. Pastor odesłał go do mnie, powiadając, że nikt w wiosce nie potrafi lepiey mu doradzić.

Kiedy Baron przyszedł do mnie, nagle wpadłem na projekt, nabyć ten las dla siebie. Znałem go dobrze. W minutę plan móy był wykończony. Baron dąsał się i gadał, że gotów przedać za sześć tysięcy, byleby zbyć ten kłopot z głowy; a kiedy wystaram się kupca, dostanę za to porządny gościniec na wódkę. Ja mu odpowiedziałem, że pomyśliwszy sam kupić mogę i zapłacę gotówką połowę summy, jeżeli reszty zechce poczekać, i przestając na przyzwoitym procencie, naznaczy dogodny termin wypłaty. Baron spóyrzawszy na mnie, potém na gołe ściany mojego mieszkania, zgodził się nakoniec, i zaraz zrobiliśmy kontrakt urzędowy.

Ściągnąłem móy kapitał, cztery tysiące złotych, od którego procenta szły na wychowanie córki mojego opiekuna; zapłaciłem Baronowi połowę ceny, a sierocie wprost już od siebie posyłałem co rok przeznaczoną ilość pieniędzy.

Wtenczas to powstały we wsi gawędy: nikt już nie wątpił, że albo mam pod swoją władzą góry złote, albo sam złoto robię, chociaż nie mniey przeto nasi mędrcy wioskowi śmieli się z mojey kupli.

Niechay śmieją się, jak chcą, myśliłem sobie, a tymczasem nająłem ludzi do rąbania drzewa, sprowadziłem dwóch potażników, nakupowałem beczek i kotłów żelaznych, wystawiłem piec i kazałem naypięknieysze buki na popioł przepa-

lać. Miałem ja wielkie widoki. Jednemu z naywiększych moich przyjacioł w wiosce, wybornemu ale ubogiemu chłopakowi, nazwiskiem Lebrechtowi, który mi pomagał w uczeniu dzieci, oddałem szkołę i całe z niey dochody, zostawując sobie tylko tak nazwane przeze mnie godziny powieściowe. Opuściwszy dóm szkolny, wystawiłem dla siebie mieszkanie w lesie, żebym mógł zbliska doglądać roboty. Robotnicy moi także musieli sobie pobudować małe chatki na zimę, i tym sposobem zacząłem prowadzić nowy rodzay życia, jakby pośród osadników, w Ameryce wytrzebiających lasy.

Mieszkańcy Gardu, dziwili się ciągle moim głupim, jak oni nazywali, przedsięwzięciom i zżymali ramionami, a tymczasem morgi lasu jeden po drugim obracały się w popioł. Nim rok upłynął, już ze sto morgow zamieniło się w pasiekę. Potaż móy prędko znalazł odbyt, i tym sposobem ogromne buki spakowane w beczki, rozchodziły się na wszystkie strony świata. Za połowę wyciętego lasu z nawiązką odzyskałem moje pieniądze. Baronowi Cebra zapłaciłem prędzey, niżelim obiecał, i pozostały w ręku kapitał, mogłem znowu, jak chcąc obrócić.

Na pasiece przy domku, wystawiłem obory i wszystkie potrzebne zabudowania; nakupowałem bydła, zacząłem uprawiać rolę i łąki, i nie zaniedbując wyrabiania potażu, zająłem się gospodarstwem wieyskiém. Osuszając mieysca błotniste, znalazłem wielką krynicę. Zpoczątku myśliłem wykopać w niey studnię dla siebie; ale postrzegłszy, że woda była mineralna, wpadłem na nowy projekt. Nigdzie w naszym kraju nie

ma źrzódeł leczących. Kazałem więc zbudować oto ten sam dom zajezdny z łazienkami, i przez wszystkie gazety dałem wiedzieć o zaletach moich wód mineralnych, o przyjemném położeniu mieysca, i o wygodach dla gości. Zaczęto zjeżdżać się, i wkrótce moje wody, stały się tak sławne, że dla wszystkich gości było już zaciasno. Musiałem jeszcze przybudować officyny. Cały ten zakład wypuściłem jedney uczciwey i rządney rodzinie. Kapitał wyłożony na to, dawał znaczne procenta. Przeszło sto morgow ziemi podzieliłem na kilka części. W każdey wystawiłem budynek. Wapno i drzewo nic mi nie kosztowało; a jak tylko które mieszkanie było gotowe, zaraz znaydował się dzierżawca. Naychętniey jednak przyymowałem rzemieślników, albo rzadkich w naszym kraju, albo potrzebnych dla gości, odwiedzających wody. Czyniąc umowy dogodne dla nich, wkładałem także warunki względem zachowania moich przepisow porządku, a tym sposobem stałem się niejakoś obyczajowym prawodawcą w swojey osadzie. Dzierżawcy chętnie przystawali na to i dotrzymywali ściśle: bo widzieli w tém własną korzyść, i znali moję surowość. Jeżeli kto w czémkolwiek przewinił, natychmiast wypędzałem go z dóbr moich. Spóyrzyy naokoło, kochany Redern, wszystkie te cztérnaście domów, co stoją poza nami i tu ku lasowi, należą do mojey osady.

Nowy urząd.

Między osobami odwiedzającemi nasze wody, bywali też urzędnicy wydziału ekonomicznego. Ci mię poznali. Gdybym był podobnie, jak

oni ubrany, zapewneby moje wiadomości nie ściągnęły ich uwagi; ale w prostey siermiędze wydawałem się im człowiekiem bardzo mądrym i szanownym. Prócz tego uważano mię za niezmiernego bogacza. Tak więc bez naymnieyszey trudności, po śmierci starego wóyta, otrzymałem jego mieysce, chociaż to włościanom nie bardzo było do smaku.

Nowy obowiązek radował mnie niezmiernie: możebym w innych okolicznościach nie tyle cieszył się z urzędu gubernatora lub ministra. Teraz to stanąłem na punkcie, do którego oddawna zmierzałem: okrąg mojego działania wystarczał już dla mnie. Znałem wprawdzie niewdzięczność mieszkańcow Gardu; lecz czegoż innego spodziewać się mogłem od tak nędznych, leniwych, tępych i zdziczałych próżniaków? Trzeba było naprzód zbliżyć ich cokolwiek do ludzi, żeby wymagać po nich ludzkich, szlachetnieyszych, uczuć.

Natychmiast ułożyłem plan tego dążenia. Pastor Bodé i nauczyciel Lebrecht, wspierali moje zamysły. Ośmioletnie doświadczenie dało mi poznać wszystkie źrzódła zepsucia naszego kraju. Należało je zniszczyć czém prędzey. Naygłównieyszem z nich była skłonność do pieniactwa. Na przekor wszystkim adwokatom sam starałem się bydź pośrednikiem, roztrząsałem papiery dla moich włościan pisane, i naszczęściey spory na ugodzie konczyłem. Odtąd wszyscy nasi zapaśnicy procederowi, zaczęli mi poruczać swoje sprawy; a tym sposobem mając zręczność niszczenia pieniactwa w samym zarodzie i uprzedzania podżegań obrótnych adwokatów, niewymówną korzyść przynosiłem dla całey wioski.

Pośród tych prac i trudów w nowym obowiązku, zdarzyło się ze mną cóś takiego, o czém myśliłem już dawno, czego jeszcze nie doświadczyłem nigdy, co mnie na jakiś czas tak zawróciło głowę, że z niey wszystkie plany reformy wyleciały zupełnie.

Jednego razu prowadziłem wóz potażu do miasteczka Berg, stąd o trzy mile położonego, gdzie mieszkał kupiec handlujący ze mną. Właśnie kiedym wjeżdżał do miasteczka, spadł mi z wozu worek bobu, ktory leżał na wierzchu. Ostrzeżony od małego chłopca, pobiegłem nazad drogą, i zarzuciwszy worek na plecy, dopędzałem konia, idącego z wozem.

Wtém spotkałem ładniutką dziewczynę, po mieysku ubraną. Skorom tylko spóyrzał na nią, skoro ona na mnie spóyrzała, zaraz cóś nadzwyczaynego zrobiło się ze mną. Nic równie powabnego nie widziałem w świecie. Jakby oczarowany jey wzrokiem, sam nie poymowałem co czułem. Wśrzód tego pomieszania wiatr mi zrzucił kapelusz z głowy. Obarczony ciężarem, nie mogłem się nachylić. Piękna dziewczyna bardzo uprzeymie zbliżyła się do mnie, podjęła kapelusz, i podawszy go z uśmiechem, poszła daley. Niewiem dalibóg, czym jey podziękował nawet, pamiętam tylko, że ciągle stał mi w oczach jey uśmiech milutki. Jak w manii przybyłem do mojego kupca.

W jego domu miałem osobny pokoik i pościel swoję: ponieważ częstokroć, równie zimą jak latem, czy to w słotę, czy w pogodę, musiałem za mojemi interessami handlowemi jezdzić do miasteczka Berg, i tam nocować. Tą razą nie

było potrzeby bawić do jutra, ale w nadziei zobaczenia mojey bogini, postanowiłem zostać na noc. Nie odchodziłem od okna, i wzrok móy upragniony, ciągle błądził wzdłuż ulicy, póki mię nie zawołano na obiad.

Kiedy w tém patrzę — aż i piękna dziewczyna stoi przy stole i ma siadać razem z nami. Mnie dano prawie pierwsze mieysce, ona nayniższe zajęła; a tak znaleźliśmy się jedno naprzeciw drugiego. Żadną miarą jeśdź nie mogłem: jak tylko ona zwróci na mnie swoje czarne oczy, to ja, ani łyżki, ani widelca nie widzę.

„Co to za jedna, ta młoda dziewczyna?" zapytałem po obiedzie, kiedy się ona oddaliła. „Ach móy Boże." rzekła kupcowa, „jest to biédna wychowanka mojey siostry pastorowey, która po śmierci swojego męża, musi wynieść się z pastorskiego domu, i dla tego przysłała ją do mnie. Dwadzieścia mil musiała jechać nieboraczka, jedynie po to, iżby mieć przytułek, nim się moja siostra urządzi."

Ze wszystkiego, com słyszał, podobał się mi jeden wyraz *biédna*. Ten zrodził we mnie nadzieję. Ja byłem nie ubogi, trzydziestu trzech lat wieku, i z twarzy — nie tak to szpetny. Jednakże, jednakże! dziewczyna mieyska, a ja wieśniak w siermiędze—Zasmuciłem się trochę. Przechodząc mimo kuchni, postrzegłem lube dziewcze, krzątające się koło ognia. Kuchenny fartuszek bardzo był jey do twarzy. To mnie pocieszyło. Pod wieczor siedząc u siebie, posłyszałem za ścianą jakiś brzęk. podobny do stukania pałeczkami po desce. Zacząłem przysłuchiwać się pilniey i poznałem głos rozstrojonego fortepianu; myśląc

więc, że się które z dzieci kupca bawiło, poszedłem zobaczyć. Tu znowu zwątpiłem: bo znalazłem za nędznym fortepianem lubą dziewczynę. Mnie się zdaje, że nie tyle ją, ile mnie samego moja śmiałość zarumieniła. Ale już się stało. Przepraszałem, jak mogłem, za niegrzeczność, i prosiłem o pozwolenie nastrojenia instrumentu. Natychmiast zająłem się tą robotą, i kiedym skończył, ona znowu grać zaczęła. Grała wybornie, i ze smakiem. Dzwięk lichego brzękadła, wydał się mnie głosem naydoskonalszego fortepianu. Byłem w zachwyceniu.

Ona dziwiła się spoczątku, że się ja znam na muzyce, że tak mówię, jak mówią w mieście, i nie tylko o samych rzeczach wieśniaczych. „Czy tu u was wszyscy włościanie tak uczeni?" zapytała z uśmiéchem pełnym prostoty, i wpatrując się we mnie nieco zbyt uważnie.

Nie bardzo nieboraczce u kupca było wesoło, i dla tego zgodziła się chętnie, kiedym podał projekt użyć razem wolnego powietrza. Przechadzka dobrze jey posłużyła. Znikła posępność, a minka wesoła, nowego dodała jey wdzięku. Podczas wieczerzy znowu siedzieliśmy naprzeciw siebie, po wieczerzy za fortepianem znowu z sobą. To już było za wiele! Przez całą noc nie mogłem zmrużyć oka. Zdawało się mi ciągle, że słyszę westchnienia mojey sąsiadki. Równie bezsennym wzrokiem powitałem gwiazdę poranną, jak pożegnałem wieczorną. Zakochani wszystko po gwiazdach rachują: bo ich wyobraźnia wiecznie unosi się w nadziemskim świecie. Nazajutrz czułem się słabym, powiedziałem o tém kupcowi, i jeszcze na cały dzień zostałem u niego. W samey

rzeczy byłem blady, i jakby sam nie przy sobie. Moja luba ubolewała nade mną, i kiedym z nią rozmawiał, chodził na przechadzkę, albo siedział u fortepiana, boleść opuszczała głowę, jednakże nie serce.

Na trzeci dzień, wyjeżdżając z Bergu, tylkom co nie skonał. Czyliż bowiem mogłem bydź zdrowym, nie czując się przy niey? W drodze, pamiętam, że śpiewałem wiele, a niekiedy płakałem nawet.

Piękna.

Natenczas i moje zatrudnienia zastanowiły się nieco; a przynaymniey nie z taką już gorliwością zaymowałem się niemi. Zamiast tego zacząłem więcey myśleć o przystrojeniu mojego mieszkania. Posprawiałem rozmaite sprzęty, i kupiłem wyborne fortepiano, które mi się zdarzyło nabyć w blizkiém miasteczku: słowem, na moje gospodarstwo robiłem takie nakłady, jakiebym wprzódy za zbyteczne uważał. Głowa moja ciągle nabita była myślami o lubey dziewczynie: mnie się wszystko marzyło, że ona kiedykolwiek z kupcem do mnie przyjedzie.

Na drugi tydzień, wiozący potaż do Bergu, ubrałem się nawet porządniey, niż zazwyczay. Jakże moje serce zadrżało, kiedym już ponad laskiem brzozowym postrzegł wieżę kościołka w Bergu. Kupiec i jego żona, przyjęli mię, jak zawsze, uprzeymie i po przyjacielsku; a moja luba mile uśmiéchnęłą się do mnie, jak do znajomego oddawna. Na jey twarzy zapłonioney, zdawało mi się widzieć radość z mojego przybycia.

Znowu trzeba było nastroić nędzne fortepi-

ano: wtenczas powiedziałem,żem kupił daleko lepsze, i chciałbym na niém słyszeć jey granie — Jednak nie dodałem nic więcey. Poszliśmy na przechadzkę, mówiliśmy o wielu rzeczach — tylko o tém naymniey,o czembym naybardziey chciał mówić. Nie dziw, że znowu bezsenność napadła mię w nocy, i znalazła się potrzeba nazajutrz cały dzień zabawić. Czas przeleciał równie przyjemnie. Przed wyjazdem,kiedy żegnając się wziąłem ją za rękę — byliśmy natenczas sam na sam w izbie — ona mnie zapytała: „A na przyszłym tygodniu, czy obaczymy się znowu?"

Odpowiedziałem: „We czwartek naypewniey" Co za niezgrabna odpowiedź na pytanie tak tkliwe. W drodze ciągle wymawiałem to sobie, i postanowiłem na przyszły czwartek wymyślić cokolwiek lepszego.

W domu nudziłem już nawet. W moim ziemskim raju nie stawało anioła. Czas do przyszłego czwartku, wydawał się tak długim, jak całe ośm lat przepędzonych w Gardzie. Nakoniec przyszedł dzień radośny: znowu znalazłem się w Bergu.

Ona,równie jak wprzódy, powitała mię anielskim uśmiechem. To mnie ośmieliło: odważyłem się nawet jednego razu powiedzieć podczas przechadzki, że mi czas okropnie długim się wydawał, kiedym jey nie widział. Słowo po słowie, nakoniec i ona ze zwyczayną sobie otwartością, wyrzekła: „Ach jakże mię wasze przybycie raduje. Wszystko tu obce dla mnie. Każdemu przynosi to wielką pociechę, kiedy kto czuje nad jego losem"—Lecz na tém był koniec naszey rozmowy, może też dla tego, że wtenczas, kiedy

to mówiła, wziąłem ją pod rękę, co się nigdy przedtém nie zdarzało. Równie z tém poruszeniem, słów nam zabrakło, zdaje się, że oboje czuliśmy się winnymi w obliczu nieba. Nakoniec, rozłączyliśmy ręce, i ja rzekłem głosem przerywanym: „Gdzie możesz bydź obcą? Gdzie nie znaydziesz serc pełnych poświęcenia się dla siebie?” Ona rumieniąc się znowu położyła swoję rękę na mojey, i znowu oniemieliśmy oboje.

Wróciwszy z przechadzki prosiłem kupca, czy nie będzie łaskaw z całą rodziną swoją, odwiedzić mię w Gardzie, i jaki dzień zabawić. „Dla czegoż nie!” odpowiedział kupiec, a ja tylko co nie podskoczyłem z radości. „Wszakże i naszey Augustynie trzeba zrobić jakąkolwiek rozrywkę, po niedzieli ona już nas opuści” To mówiąc, podał jey list od swojey szwagierki, i moja radość znikła, jak gdyby nigdy nie była.

Wieczorem przy fortepianie, rzekłem do Augustyny: „Czy to prawda,że chcesz nas porzucić?”

Ona spuściła ręce z klawiszów,i odpowiedziała: „Moja opiekunka tego wymaga.”

Stałem się zamyślony i ponury. Fortepiano brzęczało nieznośnie. Odchodząc, wziąłem jey rękę, i w milczeniu wycisnąłem pocałunek. Nie wiém, może się mnie zdawało, że jey oczy zrosiły się łzami. Łatwo się domyślić jak noc przepędziłem, a zatém, na piątek jeszcze zostałem w Bergu, i oddany obecnemu szczęściu, zapomniałem o przyszłości. W sobotę z całą rodziną kupca, udałem się do Gardu.

Kiedyśmy przyjechali, i uroczna kwitnąca dziewczyna, wyskoczyła z pojazdu na moję ziemię — wtenczas móy ray ziemski, wydał się dla

mnie prawdziwém niebem: tak mię uszczęśliwiała obecność dobrey, niewinney Augustyny.

Wielka Uroczystość.

Gości moich umieściłem w zajezdnym domu, i gospodarzom zaleciłem: wszelkiemi sposobami bawić kupca i jego żonę, żebym sam tymczasem swobodniey mógł zająć się lúbą Augustyną. Kupcowa, widząc moje proste i niekosztowne sprzęty, zaczęła robić rozmaite domysły, i nie mogła pojąć, dla czego mieszkam tak ubogo. „Mógłbym wprawdzie mieć to wszystko, co inni mają” rzekłem z niejakąś chlubą, i patrząc tylko na jedyną osobę, którey nagana lub pochwała, cokolwiek dla mnie znaczyły: „ale własnéy przyjemności w tém nie szukam, i chcę unikać zbytku, żeby mieć dostatek na wsparcie tych, którzy koniecznych potrzeb opędzić nie mogą.” Kupiec pokiwał głową, i rzekł: „Wielki z ciebie dziwak, panie wóycie.” Lecz Augustyna spóyrzała na mnie błyszczącemi z radości oczyma, i żywy rumieniec wystąpił jey na twarzy. Ona jedna obstawała za mną. Gdzie takie, jak tu ochędóztwo” rzekła „tam innych ozdób nie trzeba.“

Z wdzięcznością w duszy i na twarzy, poprowadziłem moją lubą obronicielkę do fortepianu. Słodki dźwięk przeniknął jey serce. W mojey pracowni, z naywiększą uwagą obeyrzała wszystko aż do naydrobnieyszey fraszki. Kiedy zaś znowu ją na wolne powietrze wyprowadziłem, i cały obraz naszey wioski stanął jey przed oczéma, wtenczas rzekła, nie mogąc ukryć wewnętrznego poruszenia: „Tu dalibóg, jak w ziemskim raju.“

—„Z tém wszystkiem, chcesz opuścić to mieysce” rzekłem podając jey rękę, „a kiedy wyjedziesz, czy sądzisz, że jeszcze będzie tu dla mnie ray ziemski?”

Ona milczała, jakby nie rozumiejąc, com mówił.

„Zostań tu!” rzekłem błagającym głosem: nigdzie tyle nie możesz bydź kochaną.”

Wtenczas jey oczy wdół spuszczone, zrosiły się łzami, i mnie łzy wzrok zaćmiły.

„Czyż mnie nie kochasz?“ powiedziałem jeszcze. Ona obu rękami ścisnęła rękę moję.

„Zostań!“ zawołałem: „inaczey będę nieszczęśliwym, inaczey wolałbym nigdy nie widzieć ciebie.“

Ona spóyrzała mi w oczy, i widząc łzy moje, rzekła: „Gdybym rządziła sama sobą, nigdziebym chętniey nie została. Tu jest szczęście prawdziwe.“

„Chciey je ze mną podzielać!“ zawołałem: „Wszakże nié masz, ani oyca, ani matki; któż ci zabroni oddać mi rękę, jeśli tylko serce na to pozwala.“

—„Oyca i matki nié mam“ odpowiedziała: jestem biedna, bardzo nieszczęśliwa; ale co przysięgłam, tego dotrzymam: nie uczynię żadnego ważnieyszego kroku, bez woli tey, która mnie wychowała, i bez zezwolenia jednego człowieka, którego kocham i poważam nad wszystko.“

„Któż ten szczęśliwy człowiek?“ zapytałem z trwożliwém oczekiwaniem.

—„Nayszlachetnieyszy z ludzi! Oyciec móy smutnie zakończył życie, i zrobił nieszczęśliwym tego szanownego człowieka, bez naymnieyszey jego winy. Ja byłam dzieckiem, od całego świa-

ta opuszczoném. On jeden tylko miał litość nademną. On naznaczył mi opiekuna, i szczupły ostatek swojego majątku, jaki z nieszczęścia mojego oyca ocalał, poświęcił na moje wychowanie. Chociaż tai przedemną mieysce swojego pobytu, chociaż kryje się od mojey wdzięczności, i dwa listy moje do niego pisane, zostały bez odpowiedzi; z tém wszystkiem niczego bez jego woli nie uczynię.“

—„Jak się on nazywa?“ zawołałem: „Znaydę go, chociażby był w Ameryce.“

„Nazywa się Engelbert“

W tey chwili wzrok i słuch straciłem. „Dobry Boże!“ rzekłem głosem niewyraźnym: „Więc jesteś Augustyna Lenc?“

„Tak“ odpowiedziała. Natenczas wziąłem ją za rękę, i poprowadziłem do mojego domu. Przyszedłszy, wyjąłem z szufladki dwa listy, i podając jey rzekłem: „Czy nie to są twoje listy?“

—„Jakim sposobem one znalazły się tutay?“ zawołała z podziwieniem.

„Takim, że jestem Engelbert; a twóy nieszczęśliwy oyciec, był moim opiekunem.

Nie wytrzymało tego serce dobrey dziewczyny, miotane wdzięcznością, smutkiem i miłością. Z głośnym płaczem, upadła na kolana przedemną, zaczęła całować moje ręce, i nie pozwalała podnieść siebie. „Niech tak zostanę!“ mówiła ze łkaniem. „Jakże często pragnęłam uścisnąć nogi mojego dobroczyńcy, i ze łzami dziękować jemu“— Mnie samemu nie służyły ręce. Jednakże podjąłem ją nakoniec, i była w moich objęciach.

—„Azaliż zechcesz mię teraz opuścić?" rzekłem błagającym głosem.

„Nikt w świecie nie może mną rozrządzać, oprócz jedynego dobroczyńcy mojego. Jego rozkaz będzie moją wolą."

—„A gdybym nie mógł rozkazywać, gdybym nie był Engelbertem; tylko gdyby Engelbert zostawił do twojey woli: jakże natenczas: czy chciałabyś mię opuścić."

Ona w milczeniu przycisnęła swoje usta do moich. Wtenczasto zaczęła się wielka uroczystość mojego życia, która trwa podziśdzień. Augustyna została moją."

Kupiec i jego żona, kiedy się o wszystkiém dowiedzieli, z podziwienia nie mogli przyyśdź do siebie. „Móy Boże!" zawołał kupiec: „Eugelbertów jest wiele na świecie; ani mi to na myśl nie przyszło."

„Gdybym w Bergu usłyszała to nazwisko" rzekła Augustyna: „jużbym się dawno dowiedziała o wszystkiém; ale was ciągle nazywano wóytem.

Oprowadziłem moją narzeczoną po wszystkich kątach mojego gospodarstwa; opowiedziałem jey historyą mojego życia; poznajomiłem z moim sposobem myślenia, i z mojemi zdaniami o świecie: wszystkoto zyskało jey potwierdzenie: w milczeniu przyciskała moję rękę do piersi.

Nie zważając na rozprawy i przekładania pani kupcowey, natychmiast zacząłem używać praw, jakim się Augustyna z romantyczną tkliwością poddawała. Móy rozkaz zatrzymał ją w Gardzie. Pastora prosiłem, żeby nazajutrz ogłosił zapowiedź. Augustyna oznaymiła swojey opiekunce o

wszystkiém, co się stało. Ja także napisałem do niey, i ponieważ była w smutném położeniu, obiecałem przesyłać jey corocznie, tęż samę ilość pieniędzy, jaką Augustyna, mieszkając u niey, odbierała.

Moja narzeczona mieszkała w domu zajezdnym, i będąc moją sąsiadką, czyniła rozmaite urządzenia, na przyszłe gospodarstwo nasze. Jeszcze przed szlubem, dałem jey zupełną władzę gospodyni. Jakżeśmy szczęśliwe dni pędzili!— a kiedy nastąpiła niedziela, przyszła do mnie zrana piękna wieśniaczka, z zapłonioném licem. Była to Augustyna w wieyskiém odzieniu. Zrzuciła ona ubior i wytworność świata, ukształconym zwanego. Ja zaś ani pomyśliłem wprzódy, że żona wioskowego wóyta, po mieysku ubierać się nie może. Wtenczas ona po raz pierwszy rzekła do mnie *ty*. We dwa tygodnie szanowny Pastor Bodé, pobłogosławił nas przed ołtarzem.

Szczęśliwe Nieszczęście.

Pracowitość i gospodarność Augustyny, uwolniły mię od mnóztwa drobnych zatrudnień, a przeto więcey czasu poświęcić mogłem, ważnieyszym czynnościom, dla dobra mojey osady.

Już upływały dwa lata naszego małżeństwa, kiedy nagle wioska Gard, zapewne przez nieostróżność w którymś domu, stała się pastwą płomieni. Pożar był okropny. Mieszkańcy stracili przytomność, i z załamanemi rękoma, stali w milczeniu. Już ludzie z poblizkich wiosek przybywszy na pomoc, zaczęli bydło i sprzęty ratować, a nasi tylko patrzali na nich. Niewiele budowli, i to stojących na stronie, ocalało od ognia.

Nieszczęście mocno dotknęło. Chłopi sami przez się byli ubodzy, a wsparcie od rządu wszystkich strat wynagrodzić nie mogło. Nie wiedziano co począć. Ja tylko nie rozpaczałem wcale: owszem miałem nadzieję, że to samo nieszczęście, wyydzie włościanom na dobre. Ubóztwo natenczas wszystkich zrównało, a kto się chciał wzbogacić, musiał pracować.

Pierwszém mojém staraniem było, przełożyć rządowi, żeby, korzystając, ile możności, z tego przypadku, za pośrednictwem zamiany wydziałów, tak urządzić wszystkie siedziby wieśniaków, aby każda z nich leżała pośrzód roli, należącey do niey: przez co nie tylko zapobieży się naprzyszłość pożarom; ale nadto odkryją się środki rychłego polepszenia bytu pogorzelców. Rząd zesłał kommissyą w tym celu. Jakkolwiek chłopi krzyczeli, móy projekt został potwierdzony, i nawet uskutecznienie jego, polecono mnie samemu.

Nie mało trudow kosztowało zrobienie zamiany, i ograniczenie wydziałów. Wtenczas dał się widzieć niedostatek lasu. Trzeba było kupować drzewo, i z wielkim kosztem o kilka mil sprowadzać. Wtenczas to zaczęto żałować, że przed dziesięcią laty, nie nabyto lasu od Barona Cebra.

Ja pozwoliłem spuszczać moje wyborne brzozy, za pomierną cenę, i nie tylko, że na kredyt, ale nawet bez procentu, do dwóch lat pierwszych. Oprócz tego, prawie każdemu domowi pożyczyłem pieniędzy. Rząd także ze swojey strony, nie zostawił włościan bez pomocy. Dla ubóższych zebrałem znaczną składkę, u gości odwiedzających kąpiele. W ciągu roku, znowu się wioska odbu-

dowała; ale już domy stanęły daleko jeden od drugiego, jak teraz widzisz. Żeby zapobiedz pożarom, kazałem na stronie wystawić wspólne piekarnie, zaprowadziłem porządne narzędzia do gaszenia ognia, i przy każdym domu, kazałem wykopać studnią. Wodę z mojey i włościańskiey ziemi, sprowadziłem do jedney sadzawki, a ztamtąd podawałem rowy na łąki. Tym sposobem dowolny zalew, bardzo je ulepsza. Ogrody i poletki włościan, blizko ich mieszkań położone, już tém samém, lepiey mogą bydź uprawiane, że gospodarz zawsze je ma pod okiem, i nie traci czasu, jak dawniey, na obchodzenie rozrzuconych tu i ówdzie, szachownic swojey ziemi.

Potrzeba i nędza, przymusiły wielu do oszczędności. Rzadzey odwiedzano karczmę, a w moim traktyerze, zabroniłem włościanom przedawać wódkę, wino, i piwo. Żona zmarłego wóyta, utrzymująca karczmę, ciągle narzekała na mnie. Ale ja dokazałem swego. Gdyby ona, według mojey rady, urządziła pokoje dla gości, miałaby się nie równie lepiey. Tyle teraz osob zjeżdża się do naszych kąpieli, że częstokroć nie mają gdzie się pomieścić.

Chociaż jeszcze i dotąd większa część włościan, nie oddała mi pożyczonych pieniędzy; ale zato prawie wszyscy, poopłacali postronne długi. Taki był owoc nieszczęścia. Teraz w całym okręgu, nasza wioska naybardziey jest kwitnącą, i naywiększy ma kredyt. O pieniactwie ani słychu. Bitwy, dawniey codzienne, teraz się nigdy nie zdarzają. Bardzo wielu z moich uczniów i uczennic, gospodarzą już sami, kochają mię i szanują, jak oyca. Prawie w każdym do-

mu, znaydziesz teraz naywiększy porządek i ochędóztwo.

Może też i to nie mało przyczyniło się do takowey moich włościan poprawy, że tym, którzy przez cały rok naywiększe zachowywali ochędóztwo w domach, na dziedzińcach, w sprzętach i odzieży, pilnowali ściśle porządku, byli czynni, prowadzili się spokoynie i uczciwie, odstępowałem procentów, a trzem domom nawet, które przed innemi opłacili postronne długi, darowałem pożyczone kapitały.

Niedziela w Gardzie.

Na tém Engelbert musiał zakończyć swoje opowiadanie, gdyż postrzegliśmy Augustynę, jak rozkwitłą różę w gronie młodych pączków przybywającą do nas. Szła ona niosąc niemowlę u piersi i małe dziecię prowadząc za rękę: drugie trochę większe, trzymało się jey poły, a dwóch chłopczyków naystarszych biegło przed nią. Z zachwyceniem przypatrywałem się tey gromadzie i potém jak dziecko igrałem z dziećmi.

Głos dzwonu rozległ się po dolinie i wszyscy poszliśmy do kościoła. Ciche, zgodne, śpiewanie parafian miało dla mnie cóś nadzwyczaynego, cóś uroczystego. Roskosz moja powiększyła się jeszcze, kiedy szanowny Pastor z siwym włosem, wstąpił na ambonę. Naprzód modlił się on pocichu, a potém zaczął mówić niewymuszonym i dobitnym głosem, o związku wieczności z bytém doczesnym. Postrzegłem, że miał niepospolitą znajomość świeckiego życia włościan.

Po nabożeństwie wszystek lud zebrał się pod starą lipę przed kościołem. Wóyt naprzód rozma-

wiał po przyjacielsku ze zbliżającymi się do niego, a potém stanąwszy na ławie pod drzewem, przeczytał kilka zaleceń rządowych, objaśniał je swojemi słowy i odpowiadał na pytania względem niektórych mieysc, nie dość jeszcze zrozumianych. Nakoniec wskazał na mnie ręką i rzekł: „Odwiedził mię stary móy przyjaciel. Chciałbym zrobić jemu przyjemność i pokazać równie chłopców jak dziewczęta, którzy od ostatniey uroczystości dobrze się prowadzili, dla tego więc proszę ich do siebie na wieczerzę i tańce." Tu wydobył przygotowany rejestr i przeczytał długi szereg imion płci obojey.

Na wszystkich twarzach zajaśniał uśmiéch radości. W tenczas to było mrugania, szeptow, przyjacielskich potrąceń, wzajemnych spóyrzeń i uściskań rąk! Nakoniec tłum zaczął się rozchodzić. Z nami udał się Pastor, szanowny, uprzeymy, szczery i na swoje lata jeszcze dość żywy staruszek; także nauczyciel Lebrecht rozsądny, żartobliwy chłopek, z przyrodzenia dowcipny i ciekawy. Przy nim była jego żona. Również towarzyszył nam ze swoją żoną, lekarz mieyscowy. Wprowadzono nas do traktyeru, gdzie, pomimo zwyczayney prostoty Engelberta, znaleźlismy obiad dosyć wystawny. Cały ten dzień w towarzystwie tak zacnych ludzi przepędzony, nazawsze został w mojey pamięci; lecz szczególnie z naywiększą przyjemnością przez całe życie wspominać będę koncert Engelberta, dany dla mnie. Wyobraźcie sobie: czterdzieści siedm głosów, chłopcy i dziewczęta, dorodni i dzieci, śpiewali chory i motety Grauna, Hendela, Hajdna i Rolle, tak czysto, tak mocno i wyraźnie, że ich śpiewanie mogłoby przynieść zaletę każdemu z

koncertow, dawanych po naywiększych miastach. Engelbert z Augustyną i naystarszym synem był także w rzędzie śpiewaków. Działo się to pod gołém niebem w końcu ogrodu, przyległego kąpielom. Samo mieysce jakby umyślnie było dobrane: łańcuch gór ciągnących się w oddaleniu, powtarzał z czarującym wdziękiem lekkie echa harmoniynych tonów, a tymczasem wieczorne słońce, pozłacało wszystkie okolice. Byłem do głębi duszy rozczulony i od łez wstrzymać się nie mogłem. „Wszystko to jeden człowiek zdziałał!” myśliłem sobie: i ten człowiek, który gdziekolwiek stąpi, gdziekolwiek spóyrzy, wszędzie widzi dobrodzieystwo swoje, teraz tak skromnie, bez żadney odznaki stał między wieśniakami, jak gdyby między równymi sobie.” Kiedy śpiew skończono, nie mogłem wytrzymać dłużey, zbliżyłem się do niego, z prawdziwém uniesieniem przycisnąłem go do moich piersi i zawołałem: „Ty jesteś jednym z naywiększych ludzi, w twoim grubym ubiorze!”

Weszliśmy wszyscy do sali traktyeru pięknie ubraney. Ja musiałem tańcować naprzód z Augustyną, a potém z włościankami Gardu. Jaka żywość! jaka przystoyność! Augustyna, zostawszy wóytową, sama uczyła tańców we wsi. I szanowny Pastor zachęcając tancerzy, przechodził się między nimi, jak dziad pośród ukochanych dzieci i wnuków. Do wieczerzy wszyscy bez żadney różnicy siedli za stołem, gdzie się komu zdarzyło. Ja znalazłem się obok młodey wieśniaczki, która przez cały czas zaymowała mnie, daleko przyjemniey i rozsądniey, niż wiele z tych wystrojonych, uciśniętych, napuszonych, dam mieyskich.

Skoro tylko móy Kurc odzyskał zdrowie i po-

jazd został naprawiony, wyjechałem z Gardu. Engelbert utrzymywał, że mieszkałem w jego domu; o zapłacie więc ani wspomnieć nie można było. Musiałem zostać jego dłużnikiem. Z jakiém zaś uczuciem opuszczałem Gard, sami łatwo wyobrazicie sobie.

Zakończenie.

„Otóż macie, moi panowie—mówił daley Redern—historyą drugiego milionowego. Chcieycie ją zastosować do swoich zdań i sporów, jak się podoba.

Ci nawet zpomiędzy nas, którzy naymocniey bronili mizantropa Morna, zgodzili się teraz, że lubo Engelbert nie mniey od niego miał powodow do nienawiści ku ludziom, z tém wszystkiem, w jednostaynych okolicznościach nawet, przy podobnémże wyobrażeniu o świecie, nigdyby nie był Mornem, lecz stałby się łagodnym dobroczyńcą bliźnich. Jednakże nie chcieli zbyt potępiać, ani Morna, ani Russa: obu usprawiedliwiali właściwą im czułością i draźliwością charakteru.

„Powiedzmyż otwarcie" zawołał Redern nakoniec. „I Morn i Russo byli dobrzy ludzie; ale łatwo draźliwi, często oszukiwani, i przez to niedowierzający; oba mieli więcey próżności, niż pokory, więcey zapału wyobraźni, niż zimnego rozsądku; obu zdania o świecie były fałszywe: bo wyprowadzali je ze szczegółów i niesłusznie na cały ogół rozciągali. Przeciwnie Engelbert miał głowę i serce gruntownieysze, umysł tęższy i wznioślejszy: małe przeciwności nie tak łatwo zachwiać go mogły.

— „To prawda!" odezwał się jeden z obec-

nych. „Russo grał rolę mędrca i stawał się dzieckiém kapryśném, które ustawicznie płacze i samo nie wie czego się napiera; Engelbert zaś wyższy nad tę zniewieściałość i urojenie, był człowiekiem mocnego ducha, był mędrcem prawdziwym. Russo wiecznie użalał się i narzekał na zepsucie świata, na oddalenie się od przyrodzenia; Engelbert także nienawidział tey nienaturalności, ale nie złorzecząc napróżno, mądre przedsiębrał środki i czynnie co mógł poprawiał. Będąc nieprzyjacielem zepsucia, nayrzetelniey ludziom sprzyjał, i jak zbłąkanych naprowadzał na prawdziwą drogę. Nie powstawał przeciw sercom, lecz tylko przeciw formom przyjętym. Wiele jest takich, jak Russo, ale mało Engelbertów na świecie."

„Skądże to pochodzi?" ktoś zapytał.

— „Stąd, że większa część chcących świat przekształcać, tylko rozumuje, a nie działa, wysławia cnoty, a niéma mocy iść za niemi. Ci panowie sami są dotknięci i obarczeni tém zepsuciem, na jakie powstają. Słabość, brak męztwa i szczerey ochoty, nie dozwala im wrócić do prawdy i natury. Za nic w świecie nie chcieliby wyrzec się tych *potrzeb zbytkowych*, które Engelbert dobrowolną niewolą nazywa; a jeśli niekiedy czynią tę ofiarę z siebie, to wraz wymagają ofiar wzajemnych, pragną zaszczytów sławy lub tryumfu. Lecz któż zechce podobnie jak Engelbert zostać nauczycielem, albo woytém wioskowym, znosić wszystkie przykrości, temu stanowi towarzyszące; a będąc pogardzonym i prześladowanym, nie dbać czy przez to stanie się, lub nie, celem podziwienia w obliczu świata!.. Na tém rzecz cała."

POEZYE.

Wyjątek z 3ciey części poematu, jeszcze niedrukowanego, pod tytułem: Podole, przez Maurycego *Gosławskiego.*

Nadsmotryckie pieczary! Nadsmotryckie brzegi!
Milczenie dziś na wasze naległo urwiska.
Trąba bojow nie głosi, nie krążą szeregi,
Nie grzmi działo, stal nie błyska,
Niedeptane rosną trawki;
Czasem tylko głosy kunie,
Wycie wilka, jęk turkawki,
Lekko z echem się przesunie.

Młodych urojeń kołysko!
Pierwszych uczuć powiernicy!
Pierwszych nadziei siedlisko
Podolskie lasy, góry, obecne źrzenicy!
Sercu przylgnione tak blizko!
Jaki urok niepojęty
Myśl wśrzód was wybujałą wiecznie do was wiąże,
Przez udłogi pamiątek, przeszłości odmęty,
Duszą was utęsknioną wiecznie do was dążę.

Postać wasza jednostayna,
Cicha, dziewicza, wiosenna —
Waszych natchnień siła tayna
Tęskna, dzika, nieodmienna.

Czemuż serce z Podolskich uciech i słodyczy
Nic, krom wspomnień boleśnych, dzisiay nie dziedziczy.

Ach! i ta, którą niegdyś nazywałem moją,
Po którey pierś boleje i łzy w oku stoją,
Ach i tą na Padolu—waszym cichym gajom,
Słońcem swego oblicza, tamtym świeci krajom!

A promień tego słońca i tu przez odbicie
Budzi w sercu grobowem obumarłe życie.
Promień taki łagodny! słońce tak daleko!
A czemuż blaski jego tak boleśnie pieką?
Spoczynku ni schronienia w żadney myśli chło-
dzie!...

Idź luba! spóyrzyy czasem, jest tam na ogrodzie
Dąbek mały, poziomy, ledwo widny oku,
Moją sadzony ręką przed pół-wóra roku;
Jeśli dotąd, niczyją nie wsparty pomocą,
Nie zwiądł tułacz i wlecze dziecinność sierocą,
Idź spóyrzyy— On jest mojem godłem i obrazem—
Zapłacz nad nim, nademną, i nad sobą razem—

Nim zwiądnie, listek z niego na pamiątkę ułam,
On tułacz i ja tułacz— On pod cudzym cieniem,
Ja, wygnaniec sam siebie, z twém tylko wspo-
mnieniem
W cudzey się, niegdyś mojey, pustey piersi tułam.
Przyydziesz koniec wędrówce? blizki czy daleki?
Niewidny zza obłoku, co nasz los ocienia,
Trwać, cierpieć, moja luba! może cierpień wieki
Oświeci kiedyś jasna godzina zbawienia!

Do przyjaźni.

Ty, siostro cnoty! luba przyjaźni,
Od burzy gwałtowny[illegible] wolna,

Ty spędzasz troskę, co serce draźni,
Zachmurzyć życia niezdolna:

Wdzięk twóy jest wdziękiem czystey miłości,
Co wiek człeka uszczęśliwia;
Ty nie zapalasz do namiętności,
Promień twóy duszę ożywia.

Gdzie twarz spokoyny umysł wydaje,
I kto cnotę kochać umié,
Kto bliźnim radę z serca podaje,
Ten tylko ciebie zrozumié.

Jakże szczęśliwy! kto z świata burzy,
Skryje się w twoje świątynie ;
Nieszczęścia fala próżno się wzburzy,
Sama się zniszczy i zginie.

Jak nikną w sercu młodém kłopoty,
Gdy w niém czysta przyjaźń wźniecą;
Jak nikną śniegi w wiosenne słoty,
Gdy czyste słońce zaświeci.

Przyjaźni pozwól na twojém łonie,
Użyć rozkoszy bez granic!
Gdy w sercach znaydę życie po zgonie,
Zwodnicze szczęście mám za nic.

D. S.

Obraz kochanki (myśl z Bayrona.)

1.

Jak noc bez chmury i niebo gwiazdziste,
Taka jey piękność mamiąca;

Co ma cień smutny, blask świateł tysiąca,
To wszystko mieści oko jey ogniste.
To cudowne połączenie,
Jasnością samą się zdaje;
I nigdy nawet podobney nie daje,
Słonecznego dnia spóyrzenie.

2.

Mniey jednym cieniem, lub promień zbyteczny,
Mógłby był zniszczyć wdzięków przymilenie,
Jey ciemno-złotych uplotów pierścienie;
Lub zmienić powab jey twarzy stateczny.
Ta ciągła w rysach pogoda,
O jakże wyraźnie kryśli,
Jaka w jey duszy swoboda,
Jak są niewinne jey myśli.

3.

Uśmiéch i szkarłat, co jey twarz ożywia,
I pokóy czoło co kryje;
Mówią, że w niey miłość żyje,
A cnota ją uszczęśliwia.
Bytnością swoją brzydką myśl oddala,
Urokiem serce miłością zapala.

4.

Istoto innego świata!
Gdy twym urokiem cały zachwycony,
Tobie poświęcam moje młode lata;
Jakiémże będę szczęściem nagrodzony!

A. R.

Wyznanie.

Wymagasz jeszcze wyznania,
Mego dla cię przywiązania;

Ty, która jedném spóyrzeniem,
Do duszy mojey przeglądasz.
Okrutna! jakimż płomieniem
Jeszcze mię zapalić żądasz?.
Jakaż ci mowa odkryje,
Co w mém dla cię sercu kryje.
Mowa w słodycze przybrana,
W wyrażeniach okazałych,
Utwór kochanków zbyt śmiałych,
Odemnie zgoła nieznana.
Lecz gdy rysy twarzy wpadłe,
Rumiane jagody zbladłe,
Ogień, co wnętrzności pali,
Krew, która miota człowiekiem,
Czucie co nie niknie z wiekiem,
Co cierpi, lecz się nie żali;
Smierć i wzgarda zmysłowości,
Gdy są znakami miłości;
Ty ją widzisz w moim stanie;
Na cóż ci inne wyznanie?

A. R.

Rozstanie.

Bądźże zdrowa ma dziewczyno!
Ja cię muszę dziś porzucić :
Pan wysyła mnie z wiciną ,
Tylko proszę się niesmucić.

Mego serca nic nie zmieni,
Ty mię stale będziesz kochać ;
Ja powrócę znów w jesieni;
Nié ma po co tyle szlochać.

Porzuć dziéwcze twoje żale,
Niech cię fraszka ta nie smuci;
Jaś cię kochać będzie stale,
Wiernym rzuca, wiernym wróci.

Patrz na parę tych gałązek,
Jak je dzieli zakręt wody,
Słodki złączy znów je związek,
Jak zabłyśnie czas pogody.

Tak, gdy serca los rozrywa,
Nie rozrywa nigdy stale;
Czas znów spoi ich ogniwo,
Ale spoi wiecznie, trwale.

I tak mówiąc do dziewczyny,
Która gorzko zapłakała;
Wskoczył prędko do wiciny,
I poleciał gdyby strzała.

A. D.

Miłość i Przyjaźń.

Naśladowanie z niem. Augusta Lafontena przez R. Korsaka.

Miłość, jest świtania cieniem,
Który, za oka skinieniem,
Mnieyszeje w obliczu słońca;
Przyjaźń, jest cieniem wieczora:
Wzrasta, luba życia pora,
Zbliża się do swego końca.
Dzielny w ostatniey godzinie,
Dzień nam gaśnie, i on ginie.
